Lwów 13. Października № 122. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Zmowa na starostę Kaniowskiego.

Podczas gdy się to dzieje na Litwie, inne przygotowują się rzeczy na czerwonej Rusi, mianowicie w sławnej Żółkwi, gdzie jak to już domyślać zaczynaliśmy się, gotuje się ogromna burza na naszego starostę Kaniowskiego.

Ulubieniec jego p. Hernek przybył jak wiemy do Żółkwi, i myśli jego nie muszą być zbyt czyste, miarkując po znajomości z cyganem Swalantem.

Po wyjściu tego zacny czech, wytrefiony i upudrowany, udał się prosto do kościoła księży Dominikanów, i dobywszy grubej księgi do nabożeństwa, modlił się przykładnie, ręce składał żarliwie, a oczy wznosił pobożnie. Jakoż temi wszystkiemi oznakami dopiął celu swego, bo zwrócił uwagę na siebie i księża, którzy go jeszcze znali z Buczacza, zaprosili go na śniadanie. Hernek należał do tych głodnych wiecznie ludzi, którzy wpadłszy jak szarańcza prawdziwa, do przesytu jedząc i pijąc, korzystają z gościnności narodu, i z urodzajności ziemi To też jadł i pił co się wlazło, a choć sobie podjadł należycie, nie stracił bynajmniej przytomności, i owszem umiał księżom dogadywać i połgiwać co mu tylko było potrzeba.

A więc uprzedził szanownych kapłanów, jako przybył jedynie dla tego, że słyszał o okolicznych polach, które mierzyć zamyślają dla zaszłych sporów; a że był jeometrą z profesyi, prosił zatem o protekcją w tej mierze aby jemu ta robota była powierzoną, przy czem dodał że w odwet wstawi się u pana Potockiego, aby hojnie na przyszłość klasztor obsyłał. Mówił nareszcie, iż nigdy by nie był przyszedł na tę myśl, gdyby nie to że się przekonał, iż razem z wyjazdem pana starosty z Buczacza, o czem coraz głośniej mówiono, pozbawionym zostanie chleba, że zatem nowego szukać dla siebie musi miejsca. Obejrzał przytem bibliotekę klasztorną, i chwalił nadzwyczaj wszystko i książki, i porządek w kościele; dosyć że tak sobie ujął księży, iż ci go zatrzymali na obiad. Rad był temu mocno Hernek, bo i tak niewiedział jak ma przeczekać do piątej jako do godziny umówionej.

O tym samym czasie zeszli się także sprzymierzeni złodzieje, i stosownie do umowy, Baśka i Miazga podzielili się pasem, w obecności Kręcigęby i Swalanta, którzy powtórzyli najuroczyściej dobrowolne ustąpienie praw swoich do niego. Miazga niekoniecznie łamał sobie nad tem głowę, zadowolony zyskiem połowy pasa, ale Baśka jako kobieta i ciekawsza i domyślniejsza, a pełna wyobraźni, podsyconej ciągłemi trunkami, Bóg wie jakie na tem budowała tajemnice, jakie roiła awantury.

— Jużciż coś w tem być musi! powtarzała ciągle. Ale co?... ba! nie darmo ja kobieta, i z nie jednego pieca chleb się jadło.

Jakoż nie straciła Swalanta z oka. Niepostrzeżona przez niego, szła za nim, aż do stancyi Herneka, i skulona pod drzwiami podsłuchała kilka słów z rozmowy Herneka i cygana.

— Albo on kajdanami brzęczeć będzie, albo my będziemy panami!

Słowa te, wymówione przez Herneka, ogromnego jej w głowę zabiły ćwioka. Słowa te otworzyły szerokie pole dla jej bujnych domysłów. Jakoż po tej drodze odgadywała ona już nieco, a reszty dowiedzieć się pragnęła koniecznie.

— O piątej mają się zejść. I ja się tam znajdę, i dowiem się, myślała Baśka. Może Basiunia, dodała sama do siebie z uśmiechem, będzie jeszcze wielmożną panią. Trafiały się już takie rzeczy. Ale dla czego i Kręcigęba odstąpił także pasa, i on wie coś o trupie! naprzód jedno trzeba wyśledzić, a potem przyjdzie kolej i na drugie.

Nad wieczorem Miazga pogonił do Lwowa, aby spieniężyć pomiędzy starozakonnemi połowę pasa swego. Kręcigęba spał spokojnie, a Swalant leżeł także koło niego zamyślony. Baśka zaś przez cały ten czas snuła się i przesuwała jak cień, to koło wspólnego pomieszkania, to koło domu zajezdnego w którym mieszkał siwy podróżny. Jakoż zajrzała jak koło pół do piątej wszedł Hernek do pomieszkania swego i korzystając ze zmroku wieczornego wskoczyła zaraz za nim do żydowskiego domostwa,

Stancja do której pan inżynier wszedł, była jak zwykle są gościnne stancje podzisiaj w naszych małych miasteczkach. Dwa łóżka lakierowane na zielono, napcha-

ne najeżonem, a zatem świeżem niby sianem, na którem mimo całej jego świeżości, nie jeden starozakonny zostawił ślady swego na nim pobytu, a może i ducha wyzionął, stół kiwający się nieustannie, drewniany, a brudny należycie i zamazany rachunkami, kredą pisanemi; dwa stołki nareszcie, kulawe inwalidy, otoż i całe umeblowanie. Za inżynierem wbiegł natychmiast i żydek Eliakin, dusza usłużna tego zajazdu, brudny, obdarty, z miną wszakże o tyle zarozumiałą o ile głupią.

Stosownie do danego snać sobie polecenia postawił na stole świecę i kilka butelek piwa i sporą flaszkę wódki, uwijając się choć niezgrabnie, ale powoli i nudnie za to.

— Zamknąć okiennicę, serce w niej sianem zasztopfować i przynieść jedną jeszcze świecę na forat.

— A może wody? zapytał Eliakin, chcąc dać dowód usłużności swojej.

— Głupiś! odrzekł Hernek, trunki pić trzeba, a wodą myć się z rana.

— Dziękuję wielmożnego pana! wyrzekł żydek z pokorną wdzięcznością za daną mu naukę.

Gdy już wszystko miał w porządku i żydek wyszedł, szanowny inżynier obejrzał się z uwagą po stancyi i zatarł ręce z rodzajem radości. Była to radość, po części zpowodowana dobrze, smacznie i darmo przebytym obiadem, po części pochodziła ona z przekonania o miłym komforcie tej stancyi i o zupełnem onej bezpieczeństwie co do toczyć się mającej rozprawy.

Jakież byłoby jego zadziwienie, gdyby był widział, jak Baśka wbiegłszy za nim do znajomego sobie dobrze domostwa, jak kot po połamanej drabinie wyskoczyła na strych, który jak w każdej karczmie, nie odznaczał się doskonałością swojej budowy, ale za to zawalony był słomą i sianem. Baśka nie długo myśląc rozgarnęła słomę w miejscu gdzie była powała gościnnej stancyjki, i schowana między dwa okłoty, położyła się uchem do powały zwróconem, a przyniesionym z sobą świderkiem w mgnieniu oka prześwidrowała parę dziurek dla ciekawości swojej. Nim jeszcze się całkiem urządził pan Hernek, był już pod uchem i okiem szpiegującej go Baśki.

Wkrótce ozwało się lekkie pukanie do drzwi i wszedł przez nie Swalant, który tym razem, mimo tak późnej godziny, naprzeciw zwyczajowi swemu był trzeźwiuteńki.

Po grzecznem przywitaniu, pierwszy ozwał się Hernek.

— Może pan rozumiesz co po niemiecku, bo mi czasem może zabraknąć słów polskich.

— Rozumiem ja to niby, bo to u nas między cyganami mawiają i po niemiecku, ale nie wiele. Ot naprzykład wiem co znaczy przysłowie podobno, chociaż dalibóg nie prawdziwe: In polen ist nix cu holen.

— Doskonale panie Swalant! to jest także mój opinion; lecz nim przystąpię do interesu, muszę panu powiedzieć, kto ja jestem właściwie, abyś miał zupełne we mnie zaufanie „denn Zutrauen lieber Freund weckt Zutrauen.” Otoż ja jestem, dodał z pompatyczną powagą, in den Erbstaaten Ihrer römisch kaiserlichen Majestät, einst angestellt gewesener wirklicher Privat-majorat-wirthschafts-rath-adjunkt, co tu u was w Polszcze wychodzi tak naprzykład na godność starosty przynajmiej.

— Ja zaś wielmożny panie jestem króla cygańskiego na polskiej ziemi od wujecznej siostry szwagrowej rodzony brat.

— No! no! das ist immer Etwas. Jak widzę my obydwa z pod ogona.... der Elster nie wylecieli.

Basiunia przez ten czas jak w niebie była na miękkiem z słomy posłaniu, bo wszystko widziała, jak gdyby była trzecia w pokoju. To jej tylko zawadzało i przejmywało strachem, że wtrącili o tej niemczyźnie, o której najmniejszego nie miała wyobrażenia. Już nawet to słowo Elster nie małego ją nabawiło kłopotu. Po niejakim namyśle mruknęła do siebie:

— Gadają o jakiejś żydówce, Ester się nazywa; trzeba to pamiętać.

— A teraz napijmy się panie Swalant, tak jakoś przy szklance i kieliszku gładziej idzie rozmowa. Man ist traulich zusammen.

— Bardzo dobra myśl!.... ale ja myślę, że od wódki wypada zacząć.

— Wegen meiner! chociaż u nas w naszych krajach to piją sznapsa po piwie.

Jak rzekli tak zrobili, i golnąwszy po tęgim kielichu wódki, ponalewali piwa do szklanic, i w czułej zasiedli komitywie. Swalant dla lepszej rozmowy utarł świecę, istną szabasówkę, palcami, i zapalił wonnego bakuna z krótkiej fajeczki. Hernek zażył tabaki, pełny haust pociągnął z długiej szklanicy, i jako człowiek uczony i uniwersalny, medyk, chemik, architekt, i t. d. według słów starosty Kaniowskiego, zaczął mówić rozważnie i powolnie.

— Bardzo mnie to dziwiło, że pan Swalant od widzenia się naszego tak mało postąpił w poleconym sobie interesie wykrycia miejsca, gdzie pochowano i zakopano tego Niegibowicza, co to go warjat Kaniowski na równym gościńcu zatłuc kazał na cztery tygodnie przed wejściem wojsk cesarskich do Galicyi.

— Słyszał ja to coś o tem.

— A to tak było, że ten arme Teufel podpity był, i niechciał się z drogi ustępować, a nawet zuchwale coś odpowiedział.

— Takiemu wielkiemu panu!... to głupiec!...

— Teraz wszyscy jesteśmy równi, pod naszym rządem i naszemi prawami.

— Niech i tak będzie!...

— Otóż tedy wielkieby pana szczęście mogło zdybać, gdybyś mi dopomógł w wyszukaniu tego trupa. Ten bowiem bogacz, otoczony samemi polakami, takiemi głupiemi

jak sam, nieznając prawa cesarskiego, nie umiał by sobie dać rady, i udałby się do mnie koniecznie. Naturalnie bojąc się kozy, dałby grube pieniądze, jabym go jakoś obronił, umiał obedrzeć doskonale, a potem podzielilibyśmy się. Ten interes temby lepiej panu Swalantowi zrobić wypadało, że tym sposobem byłbyś mojem staraniem zupełnie uwolniony od kary, chociaż zdybany w ówczas na gościńcu przez Potockiego, na jego rozkaz sam tłukłeś niemiłosiernie Niegibowicza.

— Ja?... zawołał Swalant wznosząc oczy i ręce ku niebu.

— A tak jakoś przypadkiem dowiedziałem się o tem. Taka więc tedy różnica, że jak wydasz to miejsce, czekają na cię wolność i pieniądze, w przeciwnym zaś razie kara wspólna z tym jaśnie wielmożnym wiolantem polskim.

— Wielmożny pan umiesz człowiekowi doskonale dogadywać, i ja chcę pewnie wszystko zrobić jak najpiękniej i jak najmądrzej, ale że dotąd nic nie zrobiłem i może i nadal nic nie zrobię, to nie moja w tem wina. Do wyśledzenia czegoś tak ważnego trzeba pieniędzy, i przedewszystkiem pieniędzy, bez których człowiek najmędrszy robi się głupcem. Najmniej tedy potrzeba by stu złotych, o które i tamtym razem prosiłem, ale darmo jakoś. Wszak wielmożny pan, co masz głęboki i delikatny rozum, wiesz zapewne najlepiej: „że kto smaruje ten jedzie!"

— Ja może mam rozum, może niemam, ale pieniędzy z góry nie dam, lecz z dołu. Jak się dowiem dokładnie o czem się chce dowiedzieć, i naocznie się przekonam, to wtedy dam nie sto, ale trzysta złotych na stół.

Roześmiały się oczy cyganowi, mianowicie gdy dla dodania mu ochoty, Hernek dobył potężnej kieski, i przy świetle nędznej szabasówki, pokazał mu znaczną, zawartą w niej kwotę złota i srebra, a na dobitek nowy kielich nałał wonnej anyżówki.

— Ba! rzekł Swalant po chwili, drapiąc się zawzięcie po głowie, jakąż ja będę miał pewność, gdy dójdę rzeczywiście gdzie leży nieboszczyk, że mnie nie minie nadgroda obiecana.

— A mój honor, czy nic nie znaczy?...

— Honor! powtórzył Swalant głosem niepewnym, i jeszcze zawzięciej zaczął się drapać.

— Wszak sam będąc uczciwym, powinien byś pan wierzyć obcej także uczciwości. Z resztą pójdziemy sami na to miejsce, odkopiesz trupa, ja się przekonam, i zaraz doręczę nadgrodę. Jeżelibym tego nie uczynił, będę w samotności zupełnie w twojej mocy; a przecież jesteś pan daleko silniejszy odemnie.

— Jest w tem coś prawdy, rzekł Swalant i głęboko się zamyślił, i aby mu lepsze przyszło natchnienie, po kilkakroć zaczerpnął go z pełnego wódki kielicha. Snać i p. Hernek natchnienia potrzebował, bo także rozmawiał się po razy kilka ze swoim kielichem, obydwa więc milczeli. Hernek wyszedł po chwili do sieni, aby stróża do palenia w piecu napędzić.

Przez ten czas Swalant ciągle popijał, i chociaż ciemniło mu się przed oczami, mimo że ciągle obcierał świecę, ale zato rozjaśniło mu się niepospolicie w głowie.

— To niemałe szczęście, myślał zacny Swalant, ni z tego ni z owego przyjść do trzystu złotych, i to bez pracy wszelkiej. Wszak przypadkiem wynalazłem dziś w nocy tego Niegibowicza. Tam go zaprowadzę, tam przez okno pokażę, i tam już ja wyduszę.... a może i pięćset uda mi się wytargować.

Dobił się do reszty tęgim gorzałki haustem, rzucił się na jedno z łóżek, i zasnął snem niewinności.

Pan Hernek wróciwszy z sieni krokiem niekoniecznie pewnym, gdy ujrzał już chrapiącego.

— Donnerwetter! rzekł do siebie. Das ist kein dummer Gedanke!

I wnet z obu łóżek odzywał się duet chrapliwy, z wielkiem mistrzowstwem wykonywany.

Basiunia usłyszawszy to chrapanie, rzesko i wesoło skoczyła na dół po drabinie, i po krótkim namyśle, pobiegła do Macieja Kręcigęby, w którym miała najwięcej zaufania.

Kręcigęba siedział sam przy dogorywającym kaganku, i rozmyślał nad marnościami światowemi, patrząc w wypróżniony kufel, który wyszczerzał się ku niemu smutną próżnią swoją.

— Dobrze zrobiliście Baśko, żeście przyszli. Jakoś człowiekowi nie tak kuczno, gdy ma do kogo się obrócić, i przemówić. Piwa już niemam, na świecie zawierzucha, spać mi się niechce.... taj człowiekowi marzą się różne głupstwa. Dali bóg w taką noc i w takiej samotności, to jeszcze diabli wpaść gotowi, i człowieka harapem zwalić za obdarcie Jakóba Sobieskiego.

— A za cóż by to was tłukli panie Macieju? wszak że wy nic z niego nie wzięliście?...

— I was to Baśko mocno dziwi?...

— I bardzo nawet!

— Ot sumienie mnie ruszyło.

— Sumienie! proszę kogo, sumienie! ja wam powiadam że mnie nie zdurzycie; wiem ja przyczynę inną, prawdziwą.

— No a jaką?...

— To się kręci koło tego śmierdzącego trupa w drugiej kruchcie. Wy obydwa coś w tem zamyślacie, tylko że cyganisko coś złego zamyśla, i chce podobnoś kogoś zgubić.

— Przebiegła z was kobieta! moja Basiunin. Macie wy racją, i ja przed wami cały sekret powiem, a jak Bóg dobry pomoże, to się czemsić większem dzielić będziemy, niżeli tym na pół zbutwiałym pasem. Ale pierwej na ten tu szkaplerz musicie przysiądz, że mnie nie zdradzicie, i że mi w ułożeniu całego interesu nietylko przeszkadzać

nie będziecie, ale mnie sami pomożecie, działając ślepo to co ja wam działać polecę.

— Przysięgam na ten szkaplerz.

— Słuchajcież tedy. Jak wiecie, że ja moją młodość przepędziłem przy boku pana starosty Kaniowskiego, i tak po prawdzie powiedziawszy, mam do niego wiele słabości. Jest to dobry pan, wesoły i zuchwały, jak przystało na pański animusz. Jakoś się tedy tak stało, że za zuchwałe stawianie się, niejaki Niegabowicz nie mógł wytrzymać plag, które mu kazał starosta wrzepić. A że to było jakoś w zimie, niemogli go zakopać do zamarzniętej ziemi, więc zapewne dziady tutejsze, co byli przed nami, poprzednicy moi i Miazgi, spuścili trupa oknem do owej kruchty, i jak się teraz dorozumiewam, musieli za to grube dostać wynadgrodzenie, bo jakoś niebawem potem przestali żebrać. Swalant spiwszy się raz, wygadał się przedemną o wszystkiem. To jedno tylko go gniewało, że niewiedział gdzie nieboszczyka zakopano.

Gdy się tedy teraz rzecz cała odkryła, ja muszę popędzić do starosty Kaniowskiego, aby go uprzedzić o wszystkiem, aby się memu dawnemu paniczowi nic złego nie stało. Wiem że nadgroda będzie wielka, a ja się nią z wami podzielę. Dostanę się jakoś na miejsce, za pomocą harapa, torby i pieśni zebrackiej, wy zaś tutaj Basiuniu czuwajcie i zróbcie porządek, dopoki ja nie wrócę.

— Dobrze wszystko, lecz cóż rozumiecie panie Macieju pod tym porządkiem? i czy dotrzymacie mi słowa co do przyrzeczonej połowy nagrody.

— O to bądźcie spokojni! Wszak po prawdzie ja teraz w waszej jestem mocy, bo możecie przecie mnie tej chwili zdradzić i pójść do urzędu i donieść o wszystkiem i nową turbacją rozpocząć, jeżeli bym wam z Buczacza wielkich nie przywiózł pieniędzy. Co zaś do porządku to ja chcę, abyście przedali połowę waszego pasa, bo będzie trochę trzeba nam pieniędzy. Potem pójdziecie do braci Cyndranów, tych trzech chałupników, co mieszkają za bramą zwierzyniecką, oni za pieniądze wszystko zrobią, trzeba tedy, żeby oni czem prędzej wydobyli trupa z kruchty i tam w fosie za murem kościelnym pochowali. Tym sposobem żadnego nie będzie dowodu na naszego starostę i jego nieprzyjaciele odejdą z długiemi nosami i gołą kieszenią.

— Przystaję na wszystko panie Macieju i muszę wam przyznać że macie wielką głowę. Trzeba wszakże, abyście się spieszyli co prędzej, bo teraz ja wam opowiem to znowu, co ja w tym interesie dziś usłyszałem.

I opowiedziała mu szczegóły wszystkie rozmowy Swalanta z Hernekiem, przez nią podsłuchanej.

Szaro było jeszcze na niebie, gdy do dnia na gościńcu, wiodącym z Żółkwi do Lwowa, parokonne sanki omal nie przewróciły piechotnika jakiegoś, który żwawym krokiem po tej samej szedł drodze. Na sankach siedzieli Hernek ze Swalantem. Piechotnikiem zaś był Kręcigęba, który ujrzawszy ich pomyślał w duszy:

— Trzeba się śpieszyć, oni jadą skarżyć do sądu.

Tak było w samej rzeczy. Swalant bowiem przespawszy się, wyprowadził Herneka i pokazawszy trupa, wziął od niego przyobiecaną nagrodę, poczem obydwa ruszyli do Lwowa, aby rozpoczęciem śledztwa nastraszyć bogatego starostę.

(C. d. n.)

CIENIOM M. K.

Maryniu! siostro po krwi i po ziemi,
I po jednem uczuciu i miłości jednej:
Mnież było zostawione bym oczy mokremi
Kroków twoich śledziła w twej zagrodzie biednej.

Drugaż to od niedawna dotyka nas strata:
Tamta matka już dzieciom, ty dziecię u matki,
Za tobą łza matczyna, za nią modlą dziatki
A dusze wasze w jedną anioł śmierci brata!

Lecz ona leży w własnej domowej ustroni,
A twoje kości obca przyjęła mogiła,
Ani ci ziemi garstka z świętej ojców błoni
Ani ci bratnia ręka wianka nie uwiła!

W ojczystem twojem gnieździe tęschno jodły pieją,
I tęschniej rzeka twoja odbija o skały,
A najtęschniejszem echem *Słońskie* wiatry wieją,
I pomrokiem się okrył *Połonin* szczyt biały...

Polko z nad *Sanu* brzegów! w *Sekwany* dolinie
Tęsknoż ci za twem *Słonnem*, za *Beskidu* halą,
Gdzie serca żywiej biją i łza żywiej płynie
I rzeka zda się głośniej wzdętą szumieć falą!...

O powróć w tę rodzinną, ukochaną stronę,
Niech cię do snu układniem, ty dziecię pieszczone,
Niech ci *Słonne* zawieje, niech jodła cię strzeże
I wraz z *Sanem* niech szumią twej braci pacierze!

A... K...a

OBRAZKI WIEJSKIE.

przez

Bolesława Kopcia.

(Ciąg dalszy.)

Żółta kareta.

Josek Zyngier, schylony nad surdutem jasno-niebieskim, szybko obraca igłą w palcu, uzbrojonym na-

parstkiem bez ducha, czasami tylko odwróci oczy od swej roboty, gdy chce spojrzeć do izby lub przez okno na drogę. Wsadził igłę w sukno, wyciągnął sforsowane ręce, że aż palce i kości trzeszczały, ziewnął, i znowu szyć zaczął, lecz ledwo kilka ściegów szerokich na sukno wprowadził, gdy zdejmując z palca naparstek i oblizując go, wyciągnął jednę rękę ku drzwiom i piskliwym głosem zawołał: A mości Jakób! do wchodzącego drągala dworskiego, który ubrany w spencer niebieski, w czapkę z kutasikiem, okryty był po piersi fartuchem, świężą gliną powalanym.

— Jak się mi mości Jakób ma? po co psisied? czy ma jakiś interes?? pytał Zyngier z uśmiechem, poprawiając krymki.

— E glupi, odezwał się Jakób, no a co, jakżeć?.. eee! mówił zbliżając się do stolika i rostwierając szeroko drzące od śmiechu zadowolnienia usta.

— No co ma być, a co, co ma być eee..... ja nic nie wiem, chiba to, że Jakób nie będzie miał na niedzielę surduta, powiedział Zyngier niby obojętnie, z naprzód wyciągniętą szyją.

— Co! nie będę miał! wrzasnął dworski i wywalił na krawca osłupiałe oczy, toć ci jaśni pani przykazała, żebym na niedzielę miał, a Dobrowolka?... czy ty nic nie wiesz?

— Po co ja mam wiedzieć, co do mnie nie psinależy.

— E głupi, ty żartujesz.....

— A jak nie żartuję, ny to co będzie?? mówił żyd dowcipnie się uśmiechając.

— E! zawołał przeciągle dworski, śmiejąc się na całe gardło, ty szelmo żartujesz, ooo śmiejesz się!.....

— Surdut będzie, mówił żyd, choćby mi przisło całą noc siedzić po sabasie, nie bój sobie, ja ci tylko tak chciał osmarkotnić, no ale Jakóbki powidz mi, ci karyta jest?

— Toć Pinkus ma przywieść karytę, jego niema to i karyty niema, powiedział dworski i z zajęciem zaczął macać, głaskać i przewracać jasno-niebieski surdut, swoję przyszłą liberję.

— Ale ci ty wiesz Jakóbku, mówił Zyngier ujàwszy się pod boki i zsuwając krymkę w tył głowy, ty mnie duzio winnien!

— Co, ja, tobie, winien?....

— No, nie patrz tak bzidko, czy ty mi nic nie winien?? Aj Jakóbku, ty nigdy byś nie miał takiego wspaniałego surduta, żebi nie ja namówił do tego pana, a co?

— Ba! to insza sprawa.

— A sukno co to za, o! cienke, że dali Bóg i sam twój pan, choć on jasny pan, takiego nie ma, rzekł Josek ostatnie słowa, tajemniczo, nachylając się do ucha Jakóba, a jak będzie zrobione? fiu! jak ulał!

— Guzów jeszcze nie ma.

— Nie bój sie, Pinkus przywiezie, Josek przyszyje, a Jakób tylko się jak pan przystroi.

— E głupi, wtrącił dworski, ciągle się śmiejąc radośnie.

— Ny a tego psienice co mi Jakóbek obiecał, ja mam worek, ale w worku pusto.

— Cicho głupi, jutro po szabasie, pana niebędzie w domu, to ci ten korczyk przyniosę.

— Poczciwy z ciebie chłopaciek, ja twego pana namówię, to on ci jeszecze sprawi czerwone spodni i zielony frak, tak jak lokaje pana marszałka.

— Ha głupi, frak i spodnie czerwone, no pamiętaj Josku, dali Bóg dam ci ile będziesz chciał.

— Co ja powiem to u mnie zietelne, tylko ty jutro po sabasi, rzekł Josek robiąc surową minę i machnąwszy ręką pod nosem.

— Ale skończ na niedzielę, bo byś nic nie dostał, powiedział Jakób, pogłaskał surdut, i zabierał się do odejścia.

— Już idziesz, a co tobie tak pili?

— Ba! ja robię w cegielni, jeszcze daleko do wieczora, uciekłem tylko, żeby zobaczyć czy robisz, bo dalibóg nie mogłem wytrzymać.

— Nie turbuj sobie Jakóbku, mówił krawiec głaszcząc pod brodę dworskiego, wystroisz się w niedzielę jak sam hetman!

— E, głupi hetman, mruknął wesoło dworski i chyłkiem wybiegł z chałupy.

Żydowi aż się oczy zaśmiały do jutrzejszego korca pszenicy, zarobię i drugi od jaśnie pana, będę ich miał dwa, pomyślał sobie w duchu i kontent z rzemiosła, przy którem obie strony, i pana i sługę okpiwać można, pociągnął czarną nitkę woskiem, nawłókł ją w igłę szybko, i zaczął szyć szerokiemi ściegami.

Tymczasem od strony dworu, odeptaną ścieszką toczyła się jakaś osoba niska, dość dobrej tuszy, rumiana na twarzy, w czepku z ogromną czerwoną wstęgą, w płóciennkowym szlafroku, taśmą innego koloru na brzuchu związanym, w przydeptanych pantoflach, któremi powłócząc, zabierała piasek i błoto po drodze. Ta osoba, będąca kobietą lat około 40, weszła do chałupy żydowskiej, przetoczyła się przez izbę i wchodząc do alkierza, wyciągnąwszy naprzód ręce, zawołała jednym tchem.

— Bój się Boga Josku Zyngier, ta bestyja Pinkus nie przyjeżdża!

— On psijedzie, rzekł poważnie Zyngier, odwracając twarz skrzywioną do nowo-przybyłej, niech się nie boi jaśnie wielmożna dziedzicka, on zid, musi się spieszyć do domu na szabas, u nas tego nie wolno, a gdzieby on szabasował???!

— Więc mówisz że przyjedzie, zaczęła jaśnie wielmożna dziedziczka, powłócząc oczyma jakby zyzowatemi po alkierzu, dał by to Bóg Najwyższy, bo mnie nie idzie o Pinkusa, ale o karetę, o kapelusze dla tych chamów i o guziki; trzeba się mój Josku na niedzielę wysztyftować, jedziemy do Dobrowolki, a my przecież dziedzice, mamy pieniądze, dzieci, córki, syna, trzeba się pokazać światu, niech nas nie nazywają skuzami, niech godnie odpowiemy zaproszeniom znakomitych osób. Ostatnie słowa powiedziała z prawdziwą dumą, powiewając szeroką chustką od nosa, strasznie zabrudzoną.

Gdy dziedziczka rozprawiała, żyd wlepiwszy swe oczy w jej twarz, powoli zsuwał się ze stołu, potem poprawił sobie krymki, i kłaniając się rzekł:

— Przez urazy JW. dziedzicki, kto tak panią naucził mówić, czi rabin??

— Ha ha! bawisz mnie mój Josku poczciwy, ja *rabina i na życiu* nie widziałam, ale to życie mój Zyngierku, przestawanie z ludźmi bogatymi, edukacja, znajomości wszystkiego nauczą, ot i w niedzielę poznamy się z pierwszemi znakomitościami powiatu, będziem z niemi ty a ty!

— Prawda, jak to pięknie?! aż mnie miło się robi. Dla tego samego już ja Jakóbka wystroję na niedzielę jak cacko!

— Skończysz, powiadasz, skończysz? no pamiętaj.,... a niech mu zgrabnie leży, bo choć to na koźle będzie siedział, ale bałwan.

— Aj! przez urazy JW. dziedzicki co bałwan to bałwan, co ja miał z nim kłopotów, ja już mu musiał ze 30 razy psimierzać, a ściąć, okrajać, psikrajać, rospruć, psisić, jak pragnę szczęścia, żeby to nie dla JW. dziedzicki stangreta, to ja by i za 100 dukatów nie chciał robić na takiego bałwana.

— No no Josku, ja tobie tego nie zapomnę.

— Niech jaśnie dziedzicke pamięta, te koźle, koźle piskliwe to dla mnie, to bidle zidowskie, to nie dla jaśnie państwa.

— Pokaż że surdut.

— O! jest! zawołał Josek, ze stołu zeskoczył, obciągnął nogawice i wznosząc w obu rękach jasno-niebieską liberją, potrząsł nią dumnie przed nosem dziedziczki.

— To 4, 6, 8, 12, 16 będzie herbowych guzików, mówiła dziedziczka, wskazując sobie palcem miejsca, w których mają być przyszyte guziki.

— 16 jaśnie dziedzicka i dwie blachy!

— A blachy! bodajcież, zapomniałam, zawołała dziedziczka, klasnąwszy w ręce z radości, ze ujrzała liberją swej służby jeszcze więcej uherbowaną.

— A co, złota mamuniu, będzie dla Jakóba surdut? zapytały cienkim głosikiem dwie panienki, wbiegające do alkierza.

— Wielmożne panienki tyż tu! proszę patrzyć, prawie jak gotów, a co nie fein? nie prawdziwe liberje dla stejngrita jaśni państwa? mówił Zyngier, potrząsając surdutem przed panienkami, jakby chciał dla nich z tej jasno-niebieskiej liberji przyszłość świetną wytrząsnąć.

Panienki młode, rumiane, jasne blondynki w loczkach, w kusych sukienkach i w rękawiczkach bez paluszków, widocznie były zadowolnione z nadwornego krawca, bo pogłaskawszy surdut, pogłaskały Joska i uśmiechając się patrzały w oczy uśmiechniętej mamie.

— Żeby tylko kareta przyjechała, rzekła jedna z panienek.

— Przyjedzie, niebójcie się, Josek mi przedłożył, że przyjechać musi, no Josku pamiętaj, mówiła dziedziczka, lekko biorąc za ucho Joska, który strojąc swą twarz w figlarny uśmiech, kręcił głową i szyją, chcąc się niby wyswobodzić z rąk JW. dziedziczki, skończ na raniutko w niedzielę, bo inaczej stracisz u nas łaskę i będziesz uchodził za niedotrzymującego słowa.

— Aj waj, ja by niestrawił tego *skondel*! rzekł Josek gdy pani dziedziczka machnąwszy chustką, wychodziła z alkierza, a panienki czem prędzej wydobywszy jakieś drobne pieniądze z kieszeni, rzuciły je na kolana Jośkowi, wesoło i błagalnie wołając, a kończ! a kończ.

Gdy alkierz wypróżnił się zupełnie, Zyngier aż klasnął w dwa palce, aż cmoknął wargami i pejsy jak mógł najdłużej wyciągnął, tak był rad z interesów przedszabasowych.

Zobaczywszy na swoim zegarku już godzinę 4tą, zaniepokoiłem się, i opuszczając chałupę, pośpieszyłem do kowala, lecz widząc, że zasmolony majster z chłopakiem szczerze się zajmują moją bryczką, pozbyłem się płonnej obawy.

Dziedziczka i panienki, widać dopiero uspokoiwszy się co do liberji Jakóba, zainteresowały się moją osobą, bo idąc ścieszką ku dworowi, często się zatrzymywały i zwracając głowy ku kuźni, zdawały się mnie śledzić swojemi oczyma, nareszcie gdy doszły do dworu, panienki poskoczyły na ganek, a z niego wpadły do wnętrza budynku, z którego za chwilę wyszedł jakiś jegomość wysoki, nie szczupły, nie młody już i ogorzały na twarzy, odjął od ust krótki cybuszek i chrapowatym grubym głosem zapytał: „A gdzie on?“ „O tam...” pokazały na mnie panienki palcami i szarpnęły papę za surdut, dając widać tem uwagę, aby nie tak głośno mówił. Jegomość obejrzał się ponuro do około, spuścił rękę z cybuszkiem ku ziemi i zeszedłszy z ganku na odeptaną ścieszkę, podążał ku mnie, poprzedzony wzrokiem małżonki i córeczek. Chcąc mu oszczędzić fatygi, poszedłem ku niemu i uchylając nieco podróżnego kapelusza, zapytałem: czy mam przyjemność widzieć dziedzica tutejszej włości?...

— Włości i dóbr panie dobrodzieju, ja nim właśnie jestem, dziedzic Bocianki, Michał Obrobski, a pan kto?

Wymieniłem mu moje nazwisko, dodając kilka grzeczności, dobrze przyjmowanych od ludzi niższych usposobień umysłowych; wtedy pan Obrobski jak był ubrany bez ceremonji, bo tylko w białej, płóciennej bonżurce, bez kamizelki, chustki na szyi, w białych spodniach, czy jak ich tam nazwać, tak i bez ceremonji zaczął mi się tłómaczyć ze swego stanu majątkowego, a mianowicie: jak dawno, od kogo, za jaką sumę kupił te dobra, co myśli w nich dodać, co znieść, lecz w ciągu rozmowy nagle zapytał:

— Ale proszę mi powiedzieć z kąd pan jedziesz?

— Jadę z Warszawy, powiedziałem dobitnie, spodziewając się, że Warszawa uczyni na nim pewne wrażenie. I nie omyliłem się, bo p. Obrobski wygiął się, od stóp do głowy objął mię swym wyraźnym i czystym wzrokiem i odrzekł powoli: Pan z Warszawy, no, oś się panu złamała, a przecież chodź pan dalej, prosiemy, prosiemy do dworu, i wziąwszy mię pod rękę, prowadził ku dworowi, przed którym panienek już nie było.

Dwór stary, pokryty gontami, na których mech zielonkowaty ustroił się gdzie niegdzie pęczkami wysokiej trawy, był przez nowego dziedzica ozdobiony okiennicami nowemi na zielono, i gankiem wysokim, także na zielono pomalowanym. Sam dwór, miły swą starością i swobodą, przynęcał do siebie niewybrednego gościa, lecz przy pomocy owego ganku i okiennic zielonych, przypominał starą kobietę z różem na wyblakłych i wyschłych policzkach, i z watą na wywiędłej piersi. O ludziach, którzy stare kobiety podobnie ozdobiają, nie wiele myśleć można, to też i ja z tych niby ozdób, szpecących poczciwą starość, nie wiele dobrego mogłem trzymać o szanownym przekształcicielu.

Pan Obrobski po wielu grzecznościach wprowadził mię na ów ganek zielono malowany, posadził na ławce również zielonej, wyprowadził swe córki, żonę, przedstawił nas sobie wzajemn ie, i ja odebrałem tysiące dygów, tysiące komplementów, a wszystko na zielonym ganku!

— Ale powiedz mi panie dobrodzieju, to pan musisz znać pewno Agacia.

— Agacia? pytałem z namysłem, nie wiedząc czy to imię jakiego czworonożnego zwierza, czy dwunożnego człowieka, nie, nie przypominam sobie.

— A bój się pan Boga, musisz go znać, chłopak śliczny, młody, ułożony, kończył kilka klas w Warszawie, a resztę przy guwernerze, płatnym na rok 2000 złotych polskich, uważasz pan 2000 złotych polskich! Musisz go pan znać, bywa bardzo często w Warszawie, zna najbogatszych ludzi, z nimi się *zadaje*, musisz go pan znać.

— Żadnego Agacia Obrobskiego sobie nie przypominam, a zresztą Warszawa spore miasteczko, ma dużo oddzielnych towarzystw....

— To nic, wszystko nic, jego wszędzie pełno, musisz go pan znać, Pawciu biegaj zawołaj tu Agacia.

— Daj pokój, daj pokój, zawołała mama, zatrzymując Pawcię. Agacio pewno śpi jeszcze, wczoraj późno przyjechał, a bawili się u kawalera bogatego, pewno sobie pozwolili nadto, niech śpi, to mu na zdrowie.

— No niech śpi, jak wstanie to zawołać, pan go musisz znać, bo to on po ukończeniu nauk z guwernerem, siedział jeszcze rok w Warszawie, żeby się poznać z ludźmi, z młodzieżą bogatą i znakomitą.

— I poznał się? i dużo się nauczył w Warszawie? dużo umie?

Na całą odpowiedź pan Obrobski gwizdnął przeciągle, żona jego machnęła chustką, a panienki wznosząc ręce do góry, zawołały aaa!!!

— On panie umie mi po francusku jak sam francuz, i gra, i maluje, i tańcuje, umie i historją, zna dużo opisów, oto jak przyjechał do domu z Warszawy, to nawet i moje córki dużo skorzystały we francuskim, chociaż przez pietnaście lat miały ciągle madamy.

— Przez 15 lat?

— No tak się mówi, bo im dłużej się uczy, tem lepiej się umie, ale że córki moje pojętne, to i te dwa lata co miały madamy, starczą za 15.

— Czasami i wiersze pisze, wtrąciła mama, już zaczynają nam zajzdrościć w okolicy, że mamy syna poetę, a trza wiedzieć, że to wielcy ludzie.

— I śmieszne historyjki umie opowiadać, szepnęła młodsza z córek, zaśmiała się i skryła twarz za plecy starszej.

— Prawda, dużo umie, rzekłem poważnie, panie pewno oprócz języka i w innych naukach korzystacie od brata?

— Nie panie, odpowiadały razem panienki, tylko w języku, książek jego nie czytamy, bo wszystkie ma strasznie grube.

— To panie nie lubicie grubych książek?

— Nie, bo to nudzi.

C. d. n.

Rozmaitość.

* **Moora machina do prania.** Nowo wynaleziona machina do prania bielizny całą zrobi rewolucją w zwykłym trybie domowego gospodarstwa. Niepotrzebne stają się balie; wygania z domu kłótliwe praczki, i odejmuje nareszcie jedną z głównych przyczyn do niesmaków domowych, pamiętnych zapewne każdemu mężowi w te dnie złowrogie, gdy małżonki brały się do bielizny. Za to samo zatem, gdyby nie zważać nawet na rzetelny tej machiny po-

żytek, amerykański wynalazca zasłużył niezawodnie na złoty medal. Machina ta (może być rozmaitej wielkości), wypiera naraz 3 do 5 koszul i z tuzin drobniejszej bielizny, w przeciągu dwóch minut. Doświadczenia zaś z nią zrobione przekonały że pierze bieliznę daleko czyściej, niżeli to ręce ludzkie uczynić potrafią. Do wielkich także jej zalet i to należy, że się w niej bielizna mniej psuje, niżeli przy gwałtownem tarciu rąk ludzkich, do czego i to dodać trzeba, że mniej wychodzi mydła i paliwa. Młoda dziewczynka, nieprzyzwyczajona jeszcze do pracy, za dziesięć minut nauczy się manipulacyi mechanicznej bardzo prostej. Cała na tem sztuka, aby bieliznę dobrze do machiny włożyć i ręcznym walcem regularnie poruszać. Machina składa się z drewnianej skrzyni, 2 stóp szerokiej, 1 stopę długiej, a 2 stopy wysokiej, która tym sposobem nie wiele zabierze miejsca. Skrzynia ta zapełnia się częściowo mydlinami, po których pływa ze 200 kul drewnianych, mających 2 cale średnicy. W środek skrzynki kładzie się rodzaj ramy drewnianej, na której zawiesza się bielizna; rama zaś ta łączy się z drewnianym walcem ręcznym jak w zwykłych pompach, którym ciągle to w górę to w dół poruszać trzeba. Przez ten ciągły ruch kulki kręcą się na wszystkie strony, wznoszą się i upadają, i pierą od razu bieliznę, na ramie, zawieszoną ze wszystkich stron tak dobrze, jak to ręce w jednem tylko miejscu na raz potrafią. Spodziewać się należy, że ta machina rozpowszechni się wkrótce; bo koszt na jej sprawienie (21 złr.) wnet się wróci przez oszczędzenie czasu i mydła.

Przyjechali od dnia 11. do 12. Października do Lwowa.

PP. Tyszkowski Jan, z Kalnego. Sobolewski Stanisław, z Tarnopola. Torosiewicz Franciszek, z Czeremchowa. Glögl Józef, z Krakowa. Sorgenfrei Jendrzej, z Pragi. Łodyński Hieronim, z Milatyna. Kriegshaber Alojzy, z Kabanowiec.

Hr. Lanckoroński Stanisław, z Rawy. Hr. Baworowski Wacław, z Krakowa, Hr. Łoś Włodzimierz, z Dobrzanek. Br. Hagen-Schwerin Gustaw, z Wiednia. PP. Szymanowski Franciszek, z Spassowa. Szawłowski Ludwik, z Krakowa. Gubatta Rudolf, z Przemyśla. Thulie Jan z Mokrzan. Zakrzewscy Xawery i Stanisław, z Krakowa. Ustrzycki Walerian, z Zamiechowa. Korytowski Erazm, z Płotyczy. Siarczyński Zygmunt, z Streptowa. Białobrzeski Stanisław, z Dzidziłowa. Niezabitowski Napoleon, z Nakła.

Wyjechali od dnia 11. do 12. Października ze Lwowa.

PP. Paygert Stanisław, do Krywenki. Brzezany Maurycy, do Koniuszek. Towarnicki Jan, do Jaryczowa. Glixelt Teodor, do Żółkwi. Dornbach Rajmund, do Żukowa.

Hr. Krasiński Piotr, do Rohatyna. PP. Wiszniewski Henryk, do Dobrzan. Sozański Sylwester, do Kornałowiec. Onyszkiewicz Adryan, do Złoczowa. Kozłowski Mikołaj, do Stanisławowa. Zawadzki Marcin, do Orzechowiec. Babecki Kaj, do Byszowa. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Bogdanowicz Maxymilian, do Przemiwółek. Doctor, do Stanisławowa.

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

		Gotówka				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	16	złr.	5	kr	20
Dukat cesarski	„	5	„	19	„	5	„	22
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	6	„	9	„	10
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	46
Talar pruski	„	1	„	40	„	1	„	42
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	15	„	1	„	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	30		92	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		65	„	45	„	66	„	15
5 proc. pożyczka narodowa		78	„	—	„	78	„	40

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 122 z roku 1855.

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Sny życia naszego.

Poezye

przez

Wincentego Gaździckiego.

w 12ce Warszawa, 1855. 1 złr. 12 kr.

CHATKA W LESIE.

Dziwactwo dramatyczne w pięciu ustępach.

przez **Władysława Syrokomlę.**

w 12ce Wilno 1855. 2 złr. oprawne 2 złr. 12 kr.

SZKICE WARSZAWSKIE.

Lichwiarze

przez

Wacława Szymanowskiego.

w 8ce Warszawa 1855. 1. złr. 30. kr.

WYCIECZKI

po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów.

przez Dra. T. Tripplin.

2 tomy w 12ce Warszawa 1855. 4 złr. 48 kr.

O PRZEZNACZENIU DZIEWICY,

jako kochanki i narzeczonej,

oraz

zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godności, które dziewica w zakresie domowym, w obcowaniu z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży zachować powinna.

przez Matyldę K.

w 8ce Warszawa 1855. 1 złr. 30 kr.

POWIEŚCI MORALNE

dla dzieci.

przez *Autorkę pamiątki po dobrej matce.*

Wydanie trzecie poprawne i pomnożone, i czterma rycinami ozdobione.

w 12ce Warszawa 1855. 2 złr.

Urodzony Jan Dęboróg,

dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego opowiadane, a rytmem spisane

przez

Władysława Syrokomlę

Wydanie drugie poprawne i powiększone.

W 12ce duż. Wilno 1855. 2 złr.

O drzewie i jego użytkach,

przez

Benedykta Aleksandrowicza.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr. 36 kr.

Chemiczne

Sprawy żywotne,

przez Dra. medycyny

A. Kryszkę.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr.

WYRABIANIE SPIRYTUSU

z buraków

jako najpewniejszy środek produkowania

tanio mięsa,

a zarazem znacznego powiększenia zbioru zboża.

w 8ce duż. z dwiema tablicami rycin.

Warszawa 1855. 4 złr.

ŁUBIN,

nowa roślina gospodarska.

Dwie rozprawy

Hermana Gropp i W. Kettego.

w 8ce Poznań 1854. 36 kr.

PRZEWODNIK

do hodowli pszczół.

przez

Jana Sikorskiego.

w 8ce Wilno 1854. 36 kr.

*

Uwagi godna sposobność!

Zadziwiająco tania

SPRZEDAŻ

Płócien, Bielizny stołowej, Ręczników,

i innych przedmiotów płóciennych, na których

z cen fabrycznych opuszcza się 30 procent.

Dobre imię firmy mojej jest rękojmią, że uwiadomienie moje nie ma zamiaru, ażeby chęć kupienia mającą Publiczność do kupowania lichego towaru przynęcić.

Szanowna Publiczność kupująca jako i niekupująca raczy się łaskawie naocznie przekonać, że tak trwało wyrobiony towar pod tak korzystnemi warunkami, niebędzie może miała już więcej sposobności do nabycia.

Ażeby wszelkie niedowierzanie Szanownej Publiczności usunąć, a prawdziwość zaręczyć, jeśliby się w moim towarze bawełna znajdowała,

więc oświadczam:

Po pierwsze: że ja mój towar płócien pod wyraźną gwarancją jako prawdziwy lniany i z dokładną miarą sprzedaję, i temu zapewniam

nagrodę 50 dukatów w złocie,

ktoby w prawdziwym lnianym kawałku odemnie kupionym choć najmniejszą część przymięszanej bawełny znalazł.

Powtóre: podaję jako prawdziwy środek do rozpoznania w przeciągu 5 minutach, czyli ten towar jest prawdziwy lub nie.

Środek do rozpoznawania bawełny:

Wycina się pasek której bądź tkanki, pierze się go i suszy, potem przez 2 minut trzyma się go w rozpuszczonym kwasie siarczanym (kupionym w aptece za 2 kr.), płucze się dobrze w wodzie mydlanej i wyciska się go w bibulastym papierze; jeżeli się w nim znajduje bawełna, to te nici bawełny tak wyjedzone będą, że tylko nici lniane pozostaną.

Ceny stałe, z których w żaden sposób nic się nieopuszcza.

Tuzin białych chustek od nosa . . . od 3 złr.
Sztuka serwet od kawy w różnych barwach . « 1 «
Tuzin serwet pod owoce » » . » 1 «
» ręczników, łokieć po 7 kr.
« białych płóciennych ręczników . . . 3 złr
Sztuka płótna górskiego z przędzy ręcznej $^{5}/_{4}$ łokcia szeroka, 40 łokci . . . . . od 8 «
Sztuka detto z przędzy ręcznej $^{5}/_{4}$ łokc. szeroka, 54 łokci . . . . 11 «
Sztuka detto na 12 koszul, $^{5}/_{4}$ łok. szeroka, 56 łok. 12 «
Sztuka detto cienka na 12 koszul, 56 łok. . 14 «
« weby płóciennej z prawdziwej przędzy ręcznej . . . . . . 66 łok. od 20 złr.

i wyżej

Sztuka prawdziwego płótna rumburskiego $^{6}/_{4}$ łokc. szer. 70 łok. . . . . 24 złr.
Sztuka belgijskiego koronówego płótna przedniego $^{6}/_{4}$ łokcia szeroka . . . . 70 łok 30 »
Sztuka prawdziwego płótna brabanckiego z przędzy ręcznej na trawie blichowanej $^{6}/_{4}$ łok. szeroka 36 «
Sztuka irlandzkiej weby po cenie bardzo zniżonej.
Sztuka płótna na prześcieradła $^{8}/_{4}$ $^{9}/_{4}$ $^{10}/_{4}$ łokcia szeroka w porównaniu po jeszcze niższej cenie.
Bielizna stołowa na 6, 12, 18 i 24 osób po bardzo miernych cenach.

i wyżej

Dla wyprzedania prędszego dodaje się przy przedaży naraz za **100 zlr.** m. k.

Gratis

Obrusik od kawy z sześcią stosownemi serwetami, pół tuzina cienkich białych chustek od nosa i wielki obrus bez szwu.

Miejsce sprzedaży w hotelu angielskim na pierwszem piętrze Nr. 71.

J. Kaufmann,

pełnomocnik c. k. uprzywilejowanych Hurtowników H. Schönaug i Hecht.